

Mały słownik
staropolskich
obyczajów
wielkanocnych



Stół wielkanocny we dworze, fot. archiwum Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu.

Stefan Król (*Kanada*)

...Minęły wieki, a tak jak niegdyś znicz od pogan strzeżony, tak jak pogańskie pamiątki od ludu przechowywane – pielęgnujemy dawne przodków obrzędy: to co weszło w zwyczaj, niech zwyczajem zostanie, a to, co było, cośmy od Ojców zasłyszeli, lub sami jeszcze widzieli, przekazmy tym, co po nas przyjdą; pomni, że gdzie była przeszłość, tam i przyszłość będzie...

(Leon Potocki, „Świecone, czyli pałac Potockich w

Warszawie”, 1854 r.)

Baba wielkanocna

Bab zawsze było w Polsce co niemiara. Chodzi oczywiście o rdzennie polski specjał wielkanocny i chlubę staropolskiej kuchni (wypiekano je już w XVII w.). Były więc baby „puchowe”, „polskie”, „ukraińskie”, „podolskie”, „krakowskie”, „warszawskie”. Były baby „migdałowe”, „muślinowe” - dla równości dziurek w cieście tak nazwane, „razowe”, „pospolite”. Wszystkie, łącznie z tą ostatnią, wymagały wiele zachodu - bez przedświątecznego nastroju trudnego do urzeczywistnienia.

Hałas, rejwach, rwetes, wrzawa,

łoskot, łomot jak w młockarni,

w izbie parno, świst, kurzawa,

Drzwi wciąż skrzypią do spizarni.

Znoszą masła, jaja, sery,

Mąki, cukry i korzenie...

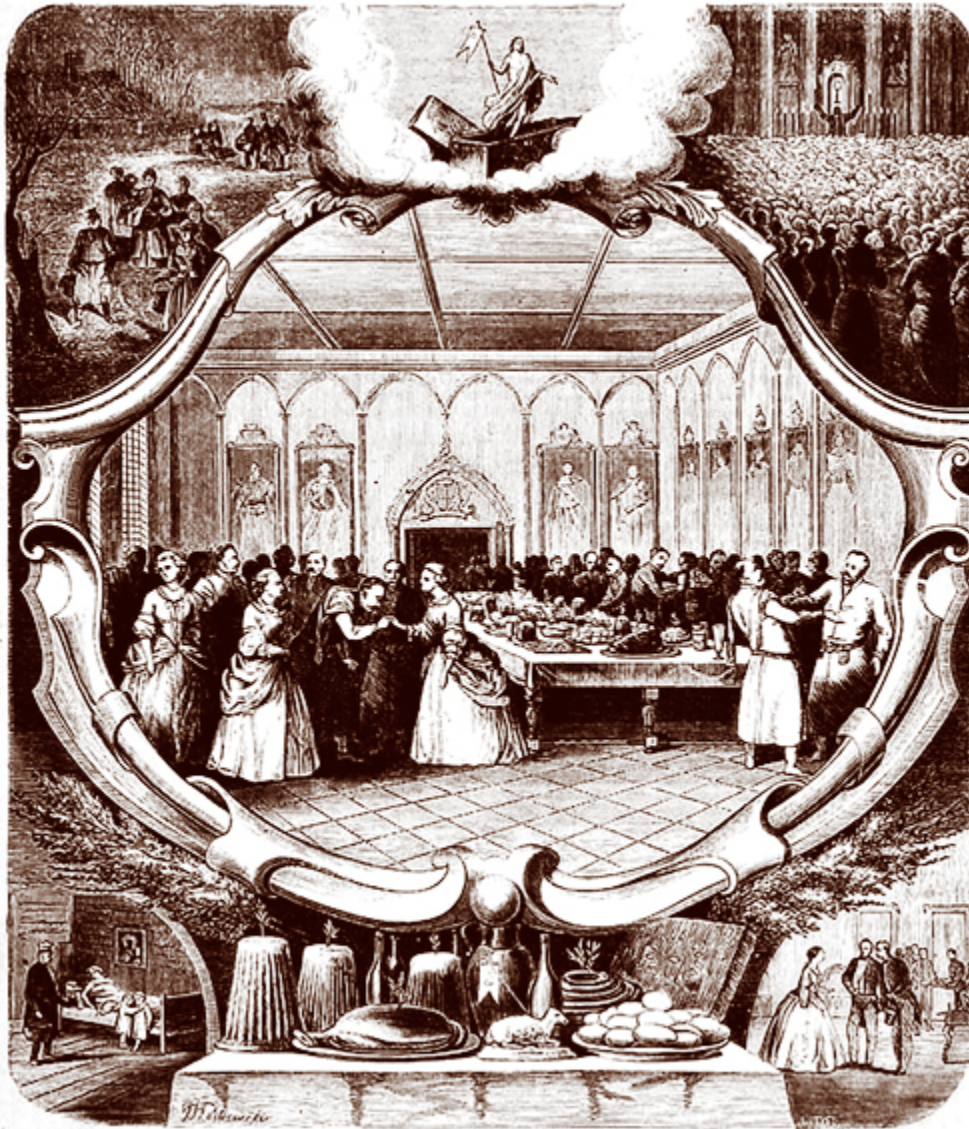
To dziewiętnastowieczny rymowany opis przygotowywania do pieczenia baby wielkanocnej. Rwetes przygotowania rozpoczynał się zwykle w poniedziałek lub wtorek Wielkiego Tygodnia. Po zebraniu i przygotowaniu składników (moczono szafran w wódce, mielono migdały, tłoczono w moździerzach wanilię...) rozpoczynało się wyrabianie ciasta. I to był początek prawdziwego misterium. Zamykano drzwi, uszczelniano okna, aby nawet najłżejszy przeciąg nie oziębił ciasta, inaczej źle by rosło. Wyrobione ciasto nakładano do form, przykrywano białymi, lnianymi, ogrzewanymi ściereczkami, żeby się „nie przeziębiło”. Od tego momentu kończyły się „hałas, rejwach, rwetes, wrzawa”, kończyła się bieganina, a nawet głośne rozmowy. Mówiono szeptem, poruszano się na palcach. Wkładanie i wyjmowanie z pieca odbywało się w grobowym milczeniu, żeby najmniejszy hałas nie zaszkodził delikatnemu, wypieczonemu ciastu. Potem następowało chłodzenie baby. Ale o tym niech nam opowie Jarosław Iwaszkiewicz, który obserwował ten rytuał w dzieciństwie:

Gdy wreszcie baby upiekły się - a siedziały w piecu ze dwie godziny, przy czym cały czas trzeba było chodzić na palcach i mówić szeptem - następował dramatyczny moment wyjmowania z pieca. Wtedy trzeba było wyteńczyć całą uwagę

po to, aby się jeszcze gorące ciasto nie wykrzywiło (...). W tym celu wprost z form baby przekładano na poduszki i dziewczęta kuchenne kołysały je na paluszkach, jak usypiające dzieci, dopóki ciasto nie ostygło. Niezapomniany był to widok, kiedy grono kobiet z poważnymi minami kołysało owe baby w obrzędowy sposób, jak gdyby od tego zależały losy świata.

Przy tak hołubionym wypieku zdarzały się, rzecz prosta, „klęski urodzaju”: *niejedna w piecu czasem tak urośnie, że się lukta potem prowadzi czy babę rozkroić, czy piec rozwalić, aby babę z niego wydobyć* – pisze w 1854 r. Leon Potocki. Tenże Potocki pisze jeszcze:

Na Ukrainie dotąd jest zwyczaj iż w folwarku, kędy pieką baby, przewożą je potem na taczkach do dworu. Nasze kilogramowe mizeroty nawet równać się nie mogą z taczkowymi kolumbrynami. Nie mamy pieców chlebowych, nie mamy stu jajek, dziewczki kuchenne musi zastępować mikser, w dzisiejszym z radiofonizzowanym świecie z ciszą też mamy kłopoty – a jednak żal by było, gdyby baby zeszły z tego świata do krainy cieni bezpotomnie. Niechby zostały chociaż babki.



Staropolskie święcone w zamożnym dworze, drzeworyt, skomponował i rysował Polkowski, rytował Styli w Warszawie, Tygodnik Ilustrowany.

Groby Pańskie

Noc na dworze - a w kościółku

Uroczyste światła płoną;

Grób Chrystusa oświetlono

Od podłogi do wierzchołka.

Malarz wiejski prosty, tani,

Wymalował skały groty.

Wymalował szczyt Golgoty

I trzy krzyże widne na niej.

(Władysław Syrokomla)

W ubogim wiejskim kościółku malarz „prosty, tani” dokonywał wystroju Grobu Pańskiego. W większych miastach, gdzie kościołów było kilka lub nawet kilkanaście Groby były bardziej okazałe, czasami grzeszyły wręcz przepychem. Rywalizacja pomiędzy parafiami, a także pomiędzy zgromadzeniami zakonnymi w urządzaniu Grobów Pańskich sprawiała, że bogactwem wystawy i pomysłów polskie Groby Pańskie wprawiały często w zdumienie cudzoziemców. Za panowania Augusta III – jak opisuje Jędrzej Kitowicz w swoich *Obyczajach staropolskich*

Groby robione były w formę rozmaityą stosowaną do jakiej historii z Pisma Świętego (...) reprezentowały Abrahama patriarchę, syna swego Izaaka na ofiarę zabić chcącego (...) Albo Daniela Proroka w jamie między lwami zostającego (...) Albo Jonasza, którego wieloryb połyka paszczą swoją (...) Górę kalwaryjską z zawieszonym na Krzyżu Chrystusem, z żołnierzami, którzy go krzyżowali i z tłumem żydostwa, którzy się temu krzyżowaniu przypatrowali.

Polski „duch narodowy” zwykł był sprowadzać historie biblijne pod polskie niebo i przykrawać na rodzimą miarę. Rychło więc zaczęły się pojawiać elementy narodowe w ubieraniu Grobów Pańskich. W XVII w. w jednym z kościołów warszawskich ułożono Grób z samych szyszaków, tarcz, szabel i innych militariów. W okresach niewoli sarmacki przepych zniknął, a Groby przekształcały się w symbole. W 1942 r. na przykład w kościele św. Anny w Warszawie Grobem Pańskim były zwęglone belki, pasma kolczastego drutu, surowy czarny krzyż i zmizerowany jakby wykradzony z obozu koncentracyjnego trup Zbawiciela. Tradycja Grobów-symboli odrodziła się znowu w okresie stanu wojennego.

Przy Grobach straż pełniły specjalne warty. Kitowicz opowiada iż tradycją było, że *w kościele kolegiackim straż pełnili drabanci królowej, a uśw. Trójcy artyleria koronna przy broni*. W moim

rodzinnym kościele parafialnym straż pełnili strażacy.



Wielkanoc na Mazowszu, fot. Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu.

Pisanki

Zdaje się, że stary problem: co było pierwsze jajko czy kura należy rozstrzygnąć na korzyść jajka. W każdym razie Rzymianie zaczęli wszystko *ab ovo* czyli od jajek. Według podań ukraińskich pierwsze jajko zniósł kogut (a więc nie kura), gdy świat był jeszcze pusty. Z tego jajka wypłynęło siedem rzek, które nawodniły doliny i wszystko się zazieleniło. Można było

śpiewać „Na zielonej Ukrainie...”.

Początki zwyczaju malowania jajek giną w tzw. „pomroce dziejów”. Do Polski pisanki przybyły prawdopodobnie razem z chrześcijaństwem. W każdym razie Wincenty Kadłubek w swojej *Kronice* z początku trzynastego wieku pisze:

Polacy z dawien dawna byli zawistni i niestali, bawili się z panami swemi jak z malowanymi jajkami.

Nie wdając się w dyskusję ze znakomitym autorem zauważmy, że niestali Polacy przynajmniej w jednym byli stali: w malowaniu pisanek. Zwyczaj przetrwał w żywotnym stanie do naszych czasów, a w zabawie, którą użył mistrz Wincenty do charakterystyki rodaków miałem szczęście, jako mały chłopiec, uczestniczyć (w Janowie Lubelskim). Nazywała się wtedy „grą w bitki”. Na specjalnie urządzonej na ten czas pochylni zderzało się jajka; pęknięte jajko było wygraną właściciela mocniejszego jajka.

Pisanki były ulubionym podarunkiem wielkanocnym. Całe ich stosy ofiarowywano w dowód przyjaźni najbliższym i przyjaciołom. Podarowanie pięknie zdobionego jajka było wyrazem dobrych życzeń i serdecznych uczuć. I choć pewnie nikt dzisiaj nie maluje stosów pisanek, to przecież twórczość

pisankowa jest ciągle żywa. Zdarza się, że zdobienie pisanek łączy dziadków z wnukami. Z korzyścią dla obu generacji: dziadkowie mają odmładzającą zabawę, dzieci biorą udział w dorosłym rękodziele.



Wielkanoc, fot, Muzeum Wsi Lubelskiej.

Poświęcenie ognia i wody

W Wielką Sobotę ognia i wody naświęcić, bydło tym skropić i wszystkie kąty w domu to też rzecz pilna – zalecał Mikołaj Rej. Poświęcenie ognia zawsze odbywało się na zewnątrz kościoła na

placu przy kościelnym. Etnograf Franciszek Gawełek (1884-1919) tak opisuje ten obrzęd:

Do dużego stosu najrozmaitszego rodzaju drzewa, jak starych krzyży, gałęzi tarniny itp., zgromadzają się wierni w skupieniu oczekując przybycia księdza. Młodzież staje najbliżej ogniska. Ogień rozniecono, ceremonia dokonana. Zaledwie ksiądz zdołał się oddalić, a już ta sama gromada, która przez chwilę była w takim skupieniu, rzuca się na ognisko, nie czekając aż ono się wypali, aby zdobyć choć jeden ogarek, choć jedną gałązkę poświęconą, którą z radością zanieśie do domu, jako ochronę przed burzami i gradami.

W latach wczesnej młodości sam bywałem w tłumie cisnących się ludzi by zdobyć - koniecznie nadpaloną - gałązkę tarniny. Do dziś noszę w uszach wielkosobotni śpiew skowronków, który towarzyszył mi w drodze do kościoła. Pamiętam także jak przygotowane przez Ojca ziarno siewne Mama zawsze kropiła przyniesioną przez mnie wodą święconą.

Po poświęceniu ognia i wody, gdy ksiądz zaśpiewał *Gloria* rozdzwaniały się wszystkie dzwony - w Wielki Piątek zastępowane kołatkami. Z sobotnim *Gloria* i dzwonami wiąże się interesująca legenda o Lucyperze władcy ciemności. Pan Jezus

po śmierci wstąpił do piekła. Tam rozkazał archaniołowi Gabrielowi przykuć Lucypera łańcuchem do kamiennego słupa. Łańcuch zawierał tyle ogniwił ile jest dni w roku. Lucyper codziennie przegryzał jedno ogniwo; na ostatni dzień przed zmartwychwstaniem pozostawało do przegryzienia ostatnie, lecz dźwięk dzwonów wielkanocnych zwiększa ogień piekielny, ogniwa ponownie się spajają i Lucyper zostaje uwięziony na kolejny rok. Lucyper uwolni się na sądny dzień przy końcu świata. Nie stanie się to jednak dopóty, dopóki w Wielką Sobotę będą biły dzwony kościelne.



Wielkanoc na Mazowszu, fot. Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu.



Wielkanoc na Mazowszu, fot. Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu.

Rezurekcja

Zygmunt Gloger w *Ecyklopedii Staropolskiej* pisze:

Rezurekcja to obrzęd radosny, w krajach słowiańskich powszechny (...). Polega on na wyniesieniu Najświętszego Sakramentu z tzw. grobu i trzykrotnej uroczystej procesji wokoło kościoła wśród pieśni wielkanocnych. Obchód powstał z misteriiów średniowiecznych, a na jego rozszerzenie wpłynęli bożogrobcy.

Gdy biły dzwony na rezurekcję, wszyscy spieszyli do kościoła. Wierzono, że kto nie pójdzie wtedy do kościoła cały rok będzie chorował. Ponadto, kto przespał rezurekcję nie miał prawa jeść święconego. Rezurekcja była bardzo niebezpieczna dla czarownic. W folklorze żywieckim istnieje bowiem podanie, że jeśli w procesji bierze udział czarownica, to musi się coś takiego wydarzyć, co nie pozwoli jej trzykrotnie obejść kościoła - rzemyk od kierpca odpadnie, spódnica się oberwie... Będzie więc rozpoznana. W czasie rezurekcji kościoły zalegały tłumy - trzeba koniecznie powiedzieć: uroczyste tłumy, różniące się od zwykłych tłumów jakąś trudną do opisaną radosną powagą. W czasie procesji triumfalnie brzmiała i brzmi dzisiaj zwycięska pieśń zmartwychwstania: *Wesoły nam dziś dzień nastał*. Jedną z najpiękniejszych pieśni z repertuaru polskich pieśni religijnych wieści ludziom radość zmartwychwstania przynajmniej od pięciu wieków. Brzask chłodnego poranka, dźwięk dzwonów, zapach kadzideł, wędrująca pod baldachimem razem z tłumem monstrancja tworzą nastrój który ścisną za gardło. Wprost czuje się w powietrzu, że wydarzyło się coś radośnie niezwykłego: wesoły nam dziś dzień nastał.

Dawniej rezurekcyjnym dzwonom wtórowały armaty, moździerze, strzelby, pistolety. Było to niegdyś całkiem głośne nabożeństwo.

Po Primarii - pierwszej mszy po Zmartwychwstaniu Pana - w

drodze do domów odbywał się wyścig furmanek. Wyposzczeni ludzie śpieszyli na Wielkie Śniadanie.



Wielkanoc na Mazowszu, fot. Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu.

Śmigus-dyngus

Po spędzonej w gronie rodzinnym, przeważnie na jedzeniu, niedzieli wielkanocnej następował poniedziałek wielkanocny – dzień harców i swawoli, czyli wzajemnego oblewania się wodą. Dzisiejsza nazwa tego obyczaju „smigus-dyngus” wzięła się z połączenia dwóch wielkanocnych obrządków. Tak jak w czasie

świąt Bożego Narodzenia „po kolędzie” przymawiając się o podarek czyli kolędę, tak w czasie świąt Wielkiej Nocy chodzono „po dyngusie” przymawiając się o dyng np. przyśpiewką:

Przyszedłem tu po dyngusie.

Leży placek na obrusie.

Tata kraje, mama daje,

Proszę o malowane jaje.

Poranne dyngowanie czy dyngusowanie kończyło się śmigusem: oblewaniem wodą. Zwyczaj ma pewnie początek w czasach prasłowiańskich, kiedy głęboko wierzono w oczyszczającą moc wody. A kościół wprowadzając poświęcenie wody właściwie tę wiarę usankcjonował, choć z początku był staremu obyczajowi. Najstarsze świadectwo o śmigusie-dyngusie w Polsce pochodzi z czasów Władysława Jagiełły. Jest nim uchwała synodu diecezji poznańskiej z roku 1420 pt *Dingus prohibetur* potępiająca ten zwyczaj. W uchwale czytamy:

Zabraniajcie, aby w drugie i trzecie święto wielkanocne mężczyźni kobiet, a kobiety mężczyzn nie ważyli się napastować o jaja i inne podarunki, co pospolicie nazywa się dyngować, ani do wody ciągnąć, bo swawole i dręczenie takie nie odbywają się bez grzechu śmiertelnego i obrazy imienia Boskiego.

Zakaz przez długie wieki okazał się nieskuteczny. Dopiero w naszych czasach zwyczaj jest w zaniku. Niestety słabnie również wiara katolicka.



Wielkanoc we dworze na obrazie Bronisławy Rychter-Janowskiej

Święcone

Nasze święcone to „mały pikuś” – by użyć współczesnego slangu – w porównaniu ze święconym naszych przodków. Oto opis święconego u mieszcznina i rajcy krakowskiego Mikołaja Chroberskiego przekazany przez dworzanina hetmana Jana Tarnowskiego (188-1561) Mikołaja Pszonkę w liście do żony Salomei:

A czas już wielki, abym Waszeci opisał – tak tytułuje mąż żonę – com widział i pożywał na święcone u Imci pana Mikołaja Chroberskiego rajcy, mieszczanina utściwego (...). Stół okrągły na środku, wieki, dębowy, żeby stu ludzi koło niego wygodnie siadło i jadło. Obrus na nim jeden wielki, ale w krzyż zaszywany. Na sześciu misach srebrnych, roboty wspaniałej, były mięsiwa wieprzowe z zad. Na drugich sześciu było dwoje prosiąt okrągłutkich, kielbasy najmniej po cztery łokcie długie, a dziwnie pachnące i koloru krokoszowego, ciemnego ustrojone rzędami jaj święconych i pisanek pomalowanych w przeróżnej barwie, ale najwięcej na rakowe. Mięsiwo miało cudną powłokę z tłuszczu w różową barwę wpadającą. Pomiedzy tymi misami stały figury z ciasta przedniego, wyobrażające dziwnie zabawne historyjki. Poncyusz Piłat wyjmował kielbasę z kieszeni Mahometa, a wiadomo, że Żydzi i Turcy nie jedzą

wieprzowiny, więc to na nich epigramma były pocieszne. Na samym środku stołu stał dziwnie piękny baranek z masła wielkości naturalnej owieczki (...)

Przerwę w tym miejscu sprawozdanie pana Pszonki; miał ci on żonę wymagającą i ciekawą, a stół był olbrzymi, więc opis zajmuje kilka stron. Trudno nawet w opisie wytrzymać taką obfitość jadła. A przecież wyważony społecznie opis powinien zawierać jeszcze opisy wielkanocnych stołów magnackich, szlacheckich i chłopskich; żadne z nich skromnością nie grzeszyły. Z kłopotu wybawi nas staropolska „teologia stołu”. Według niej śniadanie powinno być jak kazanie (krotkie i treściwe), obiad jak msza i kolacja jak nieszpory. A ponieważ każdy wspólny posiłek – i w dworku szlacheckim i chłopskiej chacie – zaczynał się i kończył modlitwą, niech więc dalszy opis staropolskiego świątecznego stołu będzie w formie modlitwy:

Któryś raczył zgromadzić nas do tego stołu,

błogosław, co z korzeniem i co do rosołu.

Któryś stworzył z niczego niedostępne nieba,

raczże nam dziś przeżegnać i tę kromkę chleba

Święty Piotrze otwarłszy niedobyte sklepy,

błogosław nam pieczeńią i to mięso z rzepy.

Miła święta Heleno, z miłą świętą Anną,

przeżegnaj nam te kiszki pospołu z brytfanną.

Miły święty Adamie ze swą małżonką Ewą,

przeżegnaj to, co z cukrem, i to, co z podlewą.

Wszystkie nasze potrawy, ba, i to, co z chrzanem,

błogosław nam nasz Panie;

mówmy wszyscy: Amen.

(Olbracht Karmonowski „*Pacierz do stołu*”, pocz. XVII w.)

Pytanie

Kto odniósł większe korzyści „dla duszy i ciała”, czy nasi

przodkowie pracowicie przygotowując święta, wypełniając to, co nakazywały obyczaje, czy my, udając się w okresie świątecznym na Kubę, aby wygrzewać się na „kosmopolitycznych” plażach pod „kosmopolitycznym” słońcem? Dla ułatwienia odpowiedzi jedna wskazówka i jedno ostrzeżenie. Wskazówka: na podstawie doświadczeń żony wiem, że babki (no, nie takie, że trzeba je taczkami wozić) doskonale udają się na kanadyjskiej mące *Weston*. Ostrzeżenie: zaniedbując zwyczaje zaprzestajemy świętowania, tracimy konieczny dla pełni ludzkiego życia podział czasu na czas sakralny i czas powszedni, spuszczaamy Lucypera z łańcucha i sami uwiązujemy się na łańcuchu nudów czasu wolnego.

„Słownik” opracowano na podstawie książek Hanny Szymanderskiej - pierwszej damy polskiej kuchni.